

KAZIMIERZ PRZERWA — TETMAJER

W dniu 12 lutego br. minęła setna rocznica urodzin Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Minęła cicho, bez rozgłosu i okolicznościowych uroczystości czy akademii. Nie towarzyszyły jej wzniośleń utworów poety w wydawnictwach, sesje naukowe poświęcone jego twórczości, nawet poważniejsze prace krytyczne, które mówiłyby o jego znaczeniu w literaturze polskiej. Czyżby rzeczywiście Tetmajer zasługiwał na takie zapamiętanie?

A przecież w okresie pełnego rozkwitu literatury Młodej Polski był jej czołowym poetą — uzyskał niezwykłą popularność, uwielbiany zwłaszcza przez krytyczki za śmiałość i sugestywność erotyki, które na tle pruderyjnej lub naiwnej dotąd polskiej liryki miłosnej stanowiły szokujące nowum. Po raz pierwszy zerwał Tetmajer zasłonki wstydlivosti, ukazał miłość w całym bogactwie pożądań zmysłowych. W 8 wydanych kolejno tomikach poezji urzekł odbiorców doskonałością i wyrafinowaniem artystycznym formy oraz sugestywną nastrojowością, w której dominujące tony zagubienia w świecie, znużenia i przesytu tak bardzo odpowiadały atmosferze fin de siècle. Z tego okresu powodzenia i sławy pochodzi jego portret naszkicowany w osobie Poety w „Weselu” Wyspiańskiego. I takim na ogół pozostał w naszej świadomości — pełen młodzieńczego uroku, niepokojem, lirycznej melancholii.

Mniej uznania i sławy przyniosła Tetmajerowi jego twórczość prozatorska. Mimo iż objętościowo znacznie przewyższa jego dorobek poetycki, że składa się na nią wiele powieści, nowel i szkiców skłonni jesteśmy dzisiaj uważać ją za margines — za produkcję uboczną twórczości poety. A jednak i w tej dziedzinie potrafił stworzyć dzieła o wartości nieprzemijającej. Wśród szeregu przeciętnych powieści („Anioł śmierci”, „Król Andrzej”, „Grafał”, „Romans panny Opolskiej”,

„Koniec epepe!”...) wyrosła urzekająca wizja świata tatrzańskiego w cyklu nowel „Na skalnym Podhalu” i dwutomowej dylogii „Legenda Tatr”. Była to wizja o wymiarach wręcz homeryckich. Zmitologizowane postacie zbójników i herosów góralskich, zbrojnych w ciupagi i drutowane flinty — gra pierwotnych instynktów i nieokiełzanych namiętności na tle równie

jak i „Legenda Tatr” doczekały się wielu wydań i do dziś nie straciły swego uroku i wielkiej poczytności.

Według określenia prof. Juliana Krzyżanowskiego — „Tetmajer w dziejach literatury polskiej pozostał jako wiecznie młody, promienny duch światła i grania”. Jakże inaczej kształtowały się osobiste losy życiowe poety. W pełni chwwały sukcesów artystycznych i towarzyskich przychodziło poczucie niemocy twórczej, choroba — objawiająca się os-

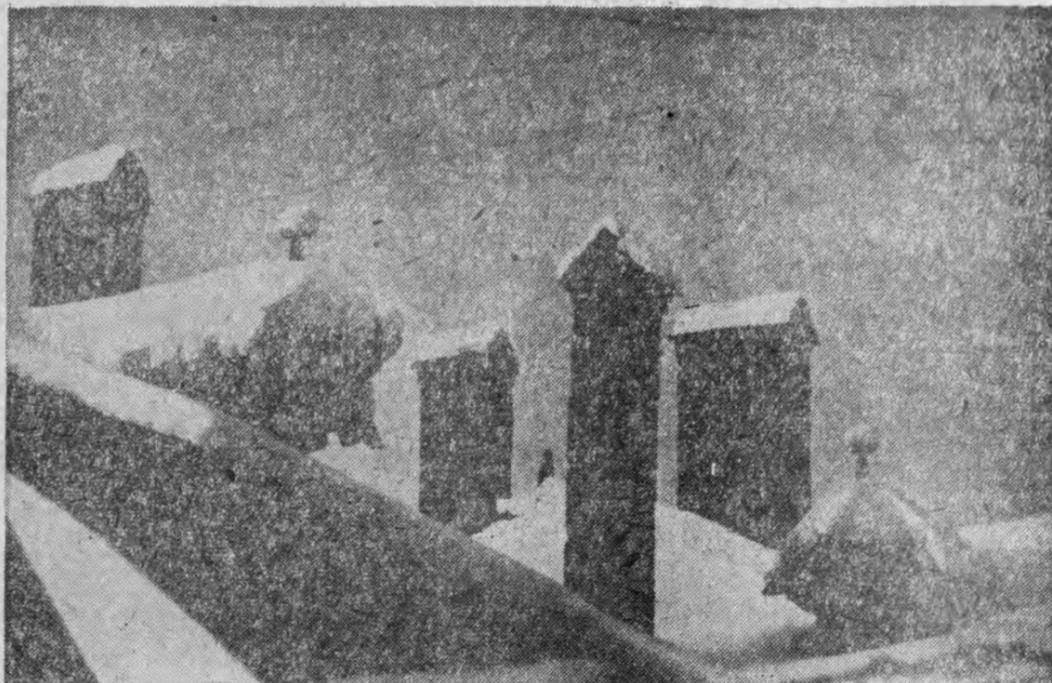


pierwotnej i dzikiej przyrody górskiej składają się na wielki epos tatrzański. To prawda, że dziś nieco drażniący czytelnika tonami młodopolskiego ludomanstwa, uwielbienia dla prymitywnej „krzepy” i ślepej żywiołowości dzieci natury. Ale nikt przed nim i po nim tak przekonująco dowodzi i miłości do skalnego Podhala nie dał i tak precyzyjnie nie odmalował obyczaju i folkloru góralskiego oraz piękna przyrody górskiej. Dlatego zarówno „Na skalnym Podhalu”,

trzymi atakami manii prześladowczej, nędza i osamotnienia. Wszyscy jego krytycy i wielbiciele zdążyli o nim tak dawno i gruntownie zapomnieć, że jako twórca właściwie zmarł już za życia. Prawdziwa śmierć przyszła dopiero w roku 1940. Schorowany i wynędzniały starzec zmarł z wycieńczenia na szpitalnym łóżku, przywieziony wprost z ulicy. Tak dopełnił się los „ludzmińskiego panicza”, bożyszczą kobiet, najpopularniejszego poety Młodej Polski.

Szkoda, że ta dzisiejsza rocznica nie stała się okazją do zerwania pleczęci zapomnienia z twórczości wielkiego i tragicznego poety.

JAN GRYGIEL



Kazimierz Przerwa — Tetmajer

Fragment wiersza dla mego synka

Synu mój maty! Odcobramięca
nazwisko będziesz nosił —
wiedz, że twój dziad na polskiej łące
trawę krwią swoją sroził,
że tej krwi kropla na twoje usta
wleczystym padła znakiem,
że, z nazwy Niemiec, szablą polą
zatwierdził się Polakiem!

Ułaski mundur, chłopcze drogi,
może i tobie szyją,
może szlifują ci ostrogi
i kłty czeka wuj? —
Kto wie!... Może...
poskoczą polskie konie
i nasza rodna pieśń ułaski
poleci po szwadronie...

„Jak wspaniała nasza postać,
jak się w słońcu błyszczą stali
Kół rzeź ziemie, nie chce dostać,
pójdiesz, koniu, pójdiesz w dal!”

Gdy cię wychowam na włona
bez lęku i bez skazy:
nie będzie służba smarnowana,
a wiedz, że my dwa razy
za nasze odcobramięce imię
kochać kraj musimy więcej —
i przyjdzie stanąć w armat dymie:
dwakroć nam trza goręcej!

I pamiętaj, jakimkolwiek chodzi
los twojego życia szlakiem,
że każdy wraz się tutaj rodzi
człowiekiem i Polakiem
i że to dwie są święte rzeczy
o sile apostołskimi
piękny i dobry duch człowieczy
w gorącej piersi polskiej!...

★ ★ ★

A kiedy będziesz moją żoną,
umilowaną, postubioną,
wówczas się ogród nam otworzy,
ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwodzą nam się kwietne sady,
pachnąc nam będą winograpy,
i róże śliczne, i powojs
całować będą włosy twoje.

Pójdziemy ciś, zamysleni,
wśród złotych przynięk i promieni,
pójdziemy wolno alejami,
pomędzy drzewa ciś, sami.

Galazki ku nam zwisać będą,
narczy piąć się srebrną grzędą
i padnie biały kwiat łpowy
na rozkochane nasze głowy.

Ubiore cię w błękit kwiatów,
niezapominek i bławatów,
ustroję cię w paproć młodą
i świat rozświetli twą urodą.

Pójdziemy ciś, zamysleni,
wśród złotych przynięk i promieni,
pójdziemy w ogród pełen zorzy,
kiedy drawi miłość nam otworzy.

Kto zawsze tylko żył w pustyni...

Kto zawsze tylko żył w pustyni,
niechaj nikogo ten nie wni,
że nie podniosą się rozpacz
i tylko nad nim kruk zakracze.

Kto się nie tmał ludzi sprawy
ani się wcielił w ból ich krwawy,
niech nie narzeka ten spod ziemi,
że ludzie na nim idą niemi.

Kto kochał tylko wicher i skały,
od skał i wichru li ma prawo
żądać, aby go żałowały,
kiedy pod zimną legnię trawą.

Deszcz nie był gęsty, ale padał już tak długo, i gnane wiatrem powietrze przesycone było wilgocią. Cieńkie krople bębniły monotonnie o daszek budki, w której stał, a która znajdowała się obok strzeżonego przezeń magazynu.

To była pierwsza służba wartownicza w jego życiu, i to go ogromnie ekscytowało. Z uwagą wpatrywał się w mrok, najbliższy szmer wprawiał go w stan nerwowego napięcia, ręce zaciskały się mocniej na karabinie.

Ale, jak dotąd, każdy alarm był fałszywy. Po drugiej stronie budynku rosła akacja. Żołnierz, który to pewien czas okrążał magazyn, przystawał obok wolnej od wiatru ściany, przy której rosła.

Deszcz przybrał nieco na sile. Żołnierz naciągnął na głowę kaptur peleryny i wkroczył w zwisające z chmur strużki wody. Młaskające w błocie buty przywiodły mu na myśl jego konia i rzekę, w której go poił. Przypomniał sobie też o rosnącej na jej brzegu wiklinie, w której czasem kładł się wieczorem, ażeby popatrzyć, jak na powierzchnię wody wyskakują ryby. Pewnego wieczora, gdy leżał w łóżnie, odkryła tuż przed nim nagą Halinę. Nawet nie słyszał kiedy podpinęła. Zupełnie, jak gdyby wynikła nagle nie z rzeki, lecz z jego myśli.

Mur ogrodzenia skończył się. Żołnierz ścisnął mocniej karabin. Przez kilka minut trwał przyczyniony do chropowatej, zimnej powierzchni, po czym odepchnął się od muru i z wysuniętym do przodu bagnetem skoczył za róg ogrodzenia.

Bagiet przeszył powietrze. Pod ścianą budynku nie było nikogo. Opuścił w dół lufę karabinu i podszedł do drzewa. Jego ręka zagłębiła się w kieszeni, palce zacisnęły się na paczce papierosów. Nie wydobył ich jednak. Zerwał liść akacji i rozgniół go zębami. Cierpki sok podrażnił język i podniebienie. Niczym to jednak nie przypominało smaku tytoniowego dymu.

Pluwał w deszcz zieloną śliną, zrobił kilka kroków wzdłuż muru, rozejrzał się, zawrócił, minął drzewo, po czym znowu zawrócił i ponownie stanął pod jego koroną. Jednostajny szum bombardowanych deszczem liści przypominał mu jego ostatnią cywilną noc. Tak samo szumił wówczas pod ulewą dach strychu komórki.

Żołnierz uśmiechnął się do wspomnienia tamtej nocy. Przez chwilę miał wrażenie, że Halina jest znowu koło niego. Ale przypomniał sobie też dzień wojskowej przysięgi i uśmiech znikł z jego twarzy. Był jedynym żołnierzem w całym plutonie, do którego w tamtym dniu nikt nie przyjechał. Potem nadeszły dwa listy — jeden z domu, drugi od Haliny. „Serce moje rwie się do ciebie, Janku — pisała — ptakiem bym przyleciała, ale nie mogłam, bo ojciec...”. Nie odpisał. Do domu napisał dopiero po tygodniu, ze względu na matkę. Jak gdyby się nic nie zdarzyło: że jest zdrowy, czego i im życzy, wiedział jednak, że brat zrozumie, że ma do niego żal za tę swoją samotność w dniu przysięgi.

Potem przyszedł list od brata, że jeszcze raz go przeprosza, ale chyba rozumie, co to znaczy gospodarstwo, że przecież matka już niewiele może i on musi wszystko własnymi rękami na tej ziemi. „Ziemia — pomyślał wówczas żołnierz — teraz ci przestronniej na niej, kiedy jestem tutaj, teraz masz ją całą dla siebie i żal ci od niej choćby na dzień odjechać”. Od Haliny nie dostał więcej listu. Cekał na niego codziennie. A wieczorami, zanim nadszedł sen, pogrążony w męczącym półśnie wkraczał w strefę ponurą, wytworzoną przez swoją wyobraźnię.

Gdzieś daleko, żałośnie, jak uderzone niespodziewanie dziecko, zaskowyczał pies. Żołnierz nasunął na głowę kaptur i zanurzył się w deszcz. Jego nogi znowu były napięte, oczy starały się przeniknąć mrok. Ale puszczony w ruch mechanizm pamięci nie chciał się zatrzymać. Na lśniącym ekranie deszczu zarysował się strzyżek komórki i rozścielony na sianie koc, i drabinka, po której można się tam było wspiąć. Do tej drabiny zaczęły wychodzić z nocy postacie tych wszystkich, których nie wzięto w tym roku do wojska i którzy już swoje odsłużyli i byli teraz we wsi. Oczy żołnierza pobiegły w górę po szczeblach, do koca, na którym przeżyło się niecierpliwie ciało dziewczyny. Zaciśnięte wargi rozchyliły się i wyrzuciły w mrok obelgę.

I ten jego, a jednak jak gdyby obcy głos sprawił, że znikłoby mu sprzed oczu zaludniające noc cienie i znowu było tylko

to, co było naprawdę. Mrok rozrzedzony światłami miasta i szelest deszczu.

Zsunął kaptur z głowy, następnie czapkę. Zimna strużka wody wpadła mu za kark i zaczęła peizać po plecach. Odchylił głowę do tyłu i otworzył usta. Deszcz miał smak ługu.

Najpierw usłyszał, a potem dopiero ujrzał postać człowieka biegnącego na przelaj przez pole. Człowiek biegł prosto na niego. Żołnierz poderwał w górę karabin. Sylwetka biegnącego rosła, jej kontury rysowały się ostro na tle luny światła miasta.

Żołnierz ułożył karabin w dołku strzeleckim i wziął biegnącego na muszkę; kolba była zimna, przyjemnie chłodziła policzki. Nagle biegnący zatrzymał się. Przez jakiś czas stał nieruchomo w miejscu, potem zaczął się chwiać. Przynajmniej tak sądził żołnierz, dopóki nie zorientował się, że dzieje się tak wskutek złudzenia optycznego wywołanego chybotaniem się karabinu w jego zmęczonych nienaturalną pozycją i ciężarem broni rękach.

— Hej! Jesteś tam?! — zawołał stojący w polu człowiek,

BOGDAN LOEBL

Bracia

Żołnierz opuścił w dół lufę karabinu, wiedział, że tamten już nie potrafi mu się teraz wymknąć z pola ostrzału. Ocenil dzielącą ich odległość. Nie powinna była wynosić więcej niż sto metrów. Przybliżył karabin do oczu i ustawił suwak szczybinowy.

— Hej! hej! — ponowił swoje wołanie tamten. Znowu zaskowyczał pies, ten sam chyba, co poprzednio. Odpowiedział mu przeciągłym, przejmującym wydaniem innym, z drugiego końca nocy.

Żołnierz wzdrygnął się. Od matki wiedział, że wycie psa zawsze poprzedza pożar, albo czyjąś śmierć. Sylwetka stojącego zakolysała się i żołnierz spostrzegł, że tamten znowu idzie ku niemu.

— Hej! Janek! Jesteś tam! —

Żołnierz drgnął, jakby ten głos obudził go ze snu. Zrobił kilka kroków do przodu, ale nie uszedł daleko. Impuls, pod którego wpływem ruszył na spotkanie brata, przestał działać. Bez słowa cofnął się na dawne miejsce: był znowu wartownikiem, a jego brat osobnikiem zbliżającym się do strzeżonego przez niego obiektu.

— Czemu nie odpowiadasz? —

Żołnierz ponownie dokonał oceny dzielącej ich odległości.

— Odezwił się!

Jego palce odszukały suwak ramienia szczybiny i cofnęły go do oporu...

— Odezwił się, przecież wiem, że tam jesteś. Powiedzieli mi w koszarach.

...następnie przesunęły się do tyłu i uchwyciły rączkę zamka.

— Janek, przestań się wygłupiać, przecież cię widzę.

Żołnierz z trzaskiem zarepetował karabin.

— Janek!

— Stój!

— To przecież ja, Adam.

— Stój, bo użyję broni!

Idący zatrzymał się.

— Przestań się zgrywać Janek, no... fajnieś to odstawił —

zasmiał się niepewnie.

— W tył zwrot — zakomederował żołnierz.

— Janek — powiedział tonem perswazyj Adam.

Żołnierz milczał. Znajdujący się kilkanaście kroków przed nim brat odwrócił się z ociąganiem.

— Padnij! — krzyknął żołnierz.

Adam gwałtownie wrócił się ponownie twarzą do żołnierza. Widać było, że zaczyna go opanowywać złość.

— Coś ty zwariował? W to błoto? To po to do ciebie

taki kawał się pociągnęłam tukiem, żebyś mi się kazał na deszczu w błocie taplać!

— W tył zwrot, powiedziałam, i padnij!!!

Adam stał przez kilka sekund bez ruchu, po czym odwrócił się i ukiłki na jedno kolano.

— Tyty — powiedział — tyty...

Żołnierz szczerknął zamkiem i Adam usiadł, po czym powoli, jak gdyby najmniejszy ruch sprawiał mu ból, położył się na ziemi. Przez kilka minut trwał tak obaj bez ruchu i słowa — żołnierz z karabinem w zwieszonych luźno rękach, i jego skulony na mokrej ziemi brat. Deszcz już prawie nie padał, wiatr od czasu do czasu rzucał w twarz pojedyncze krople. Psy umilkły i nic już nie zakłócało ciszy. Lampy wzdłuż szosy paliły się na darmo.

„Wkrótce powinna nadejść zmiana” — pomyślał żołnierz.

— Długo mam tak leżeć w tym błocie?!

Żołnierz nie odpowiadał.

— Aż dostanę zapalenia, albo gruźlicy, co?

— ...

— Dwa morgi, to za mało dla nas obu, prawda? Ale jakby mnie szlag trafił, to by było prawie, co?... nooo! Byłoby ciębie wtedy gospodarz jak cholera... tego chcesz, co?!

„To ty byś tego chciał — pomyślał żołnierz — ty byś chciał na niej zostać, na tych dwu morgach. Ale ta ziemia, na której teraz leżysz, też jest dobra... spróbuj... ugryź kawałek...”

— Dobrze, zaczekam, aż przyjdzie zmiana. Zaczekam... ja wiem, że jakbym wstał, to mógłbyś strzelić do mnie, tyty... ty jeszcze gęsi pasiesz, a karabin miałeś z patyka, jak ja w wojsku służyłem. Tylko, że wtedy do wojska nie brał takich frajerskich gnojów, jak ty. Bo ty jesteś gnoj, nie mój brat!... Może nie jesteś?... Nie wolno ci mówić, co? Regulamin nie zezwala... dobrze, nie mów...

— ...

— Nie bój się, nie wstanę. Możesz se usiąść w budce, co zasiana przed deszczem, karabin oprzeć o kolano i zapalić papierosa... Za molch czasów tak się robiło... i wszystko grało... Dobra, poczekam w tym błocie na rozprowadzającego. Nie wstanę, nie ciesz się. Wiem, że mógłbyś wtedy strzelić do mnie.

„Strzeliłbym — pomyślał żołnierz — takie prawo”.

— Mierzyłbyś w głowę, co? Rrrraz, i po wszystkim.

— W nogi — pomyślał żołnierz — wyleczyłby cię szybko”.

— Ale ja nie wstanę. Chciałbyś... na pewno awans byś dostał za to wzorowe pełnienie warty, albo nawet medal. Ty gnoj! Medall... Polem ludzkie by zapomniał za co, bo ludzie są wredni... Ale matka, pomyślałaś o matce?!

Matka by nie zapomniała... Ludzie na pewno... córki by ci stręczyły... tyle ziemi!...

— Weź ją sobie całą — pomyślał żołnierz — mnie już ona niepotrzebna. Zostaję w wojsku”.

— A może chcesz wiedzieć co u Haliny?!

— ...

— Mówił, że chcesz się z nią żenić... Nie pytasz co robi twoja miła?... Może tęskni, przez okienko spoziera, czy Janek czasem z wojska nie wraca? A może... ha... ha... ha...

— Haaa... ha... ha... ha...

Adam umilkł, ale żołnierz miał nadal w uszach ten jego głos, który bardziej był krzykiem niż śmiechem. Prawie nie czuł ciężaru karabinu; wydawało mu się, że potrafiłby nim machać jak wiklinowym prętem, którym w chłopięcych latach walczył z tatarskimi hordami pokrzyw.

Deszcz ustał zupełnie. Rozciągnięty płasko na ziemi człowiek leżał bez ruchu jak manekin zapomniany przez żołnierza na placu ćwiczeń. Rękę miał wyciągniętą do przodu, głowę opartą na niej skierowaną w bok, i żołnierz, który nie wiedział, jak długo to już trwa, bo nie miał zegarka, i od tego ciągłego patrzenia na leżącego w błocie brata zaczynało mu się macić w głowie, miał chwile strachu, że to trup.

Widok rozprowadzającego i mającego go zmienić kolegi nie zrobił na nim prawie żadnego wrażenia. Słowa maledunku wyrecytował głosem bezbarwnym, niczym robot.

— Brat? — zdumiał się rozprowadzający — ten leżący w błocie, to wasz brat?

— Tak jest obywatelu plutonowy.

Rozprowadzający pochylił się i dotknął ramienia Adama.

RYSZARD BILSKI

Jarmark pod Mickiewiczem

Widać bardzo się rozmówiali w Mickiewiczu żołnierzy, bo nie bacząc na nie tyle ważniejsze, co pilniejsze potrzeby wnieśli wieszczowi pomnik. Może na chęciach, tak jak przed kilkunastu laty by się skończyło, gdyby nie doping członków miejscowego Towarzystwa Miłośników Adama Mickiewicza.

Plac pod pomnik wykupiono jeszcze na długo przed wojną. Burmistrzował wówczas w Żołyńi (tak, Żołyńia miastem była), Władysław Opałka. Dawne to i odległe czasy, lata 1922—1925.

— Z biedą starczyło pieniędzy na wykupienie parceli — wspomina ostatni żołnierski burmistrz. Miejska Rada była bardzo biedna. O... bez porównania biedniejsza niż dzisiaj gromadzka. Utrzymywaliśmy się z jarmarków. Odbywały się na placu, gdzie dziś stoi poeta. Co to były za jarmarki! Jak okiem sięgnąć, wszędzie, z przodu, z tyłu, dookoła fury, stragany. Wszedł człowiek między handlarzy i ginął. Kupcy przyjeżdżali z daleka: z Jarosławia, Leżajska, Rzeszowa, Łańcuta. Gdzież tam dzisiejszym rynekom do tamtych. Słynna była z tego Żołyńia na okolicę...

86-letni Władysław Opałka mieszka z żoną we własnym, najokazalszym w Żołyńi domku. Mimo podeszłego już wieku czuje się doskonale. Czasem jeszcze siada za warsztatem i naprawia buty. Egzamin mistrzowski zdał w Krakowie, tam również ukończył kursy handlowe. Najlepszy kupiec wśród szewców i najlepszy szewe wśród kupców — żartuje z niego żona.

Kiedy się pobrali, oboje nie mieli nic. Wyjechali dorobić się za Ocean, do Ameryki. Trafił na kryzys. Ale

Opałka był dobrym fachowcem, dostał pracę. Wrócił po 4 latach (żona nieco wcześniej) i za dolary wystawił ładny domek. Dzieci otrzymały staranne wykształcenie i rozjechały się po świecie. W Żołyńi o pracę nie było łatwo. Trzeba było niestety opuścić wygodny dom. Nie żałują jednak tego ani dzieci, ani rodzice. Co miesiąc przynosi Opałkom listonosz przekaz i 500 złotych od córki z Poznania. Tej się chyba najlepiej powodzi — mówi Opałka. Maż zarabia nieźle, bardzo zdolny. Kiedyś dostał nawet 20 tys. złotych nagrody. Przysłał mi wtedy 1.000 złotych.

— Ale wróćmy do spraw miasta. W 1925 roku mieliśmy opracowany plan rozwoju — rozbudowy Żołyńi. Niestety, nie doczekałem się jego realizacji na stołku burmistrzowskim. Pokłóciłem się z pracownikami starostwa, narobiłem sobie wrogów i trzeba było zrezygnować ze stanowiska.

Po Opałce burmistrzem, a właściwie komisarzem miasta został Józef Stachyra. Człowiek świątliwy, ale chłwy. Polakomili się na kilkadziesiąt złotych i żeby płacić od karczmy, a później trafiłi mniejszy podatek, przyłączył Żołyńię miasto do Żołyńi wsi. I tak zostało do dzisiaj. Z początku oburzenie mieszczan było ogromne. Z biegiem czasu przyzwyczaili się jednak. Teraz rolnicy są nawet zadowoleni, bo płacą mniejsze podatki.

Po zlikwidowaniu trafiki Stachyrowie otworzyli sklep bławatny. Interes nieźle prosperował. Ludzie mali drogę po tytoł, przychodzili więc i po materiały. Bodajże w 1948 roku Stachyra zginął w wypadku motocyklowym. Po kilku latach smarta

również żona. W testamencie dom zapisała na kościół. Od księdza kupił go mieszkaniec Żołyńi — Władysław Wróbel. Zapłacił podobno 70 tys. złotych, a resztę w dolarach. Od Wróbla budynek chciało odkupić Prezydium GRN. Kiedy przyszło co do czego, okazało się, że dom jest... niczyj. Mimo co najmniej pół setki rozpraw w sądzie w Łańcutcie nie zdołano ustalić prawdziwego właściciela. Dokumenty i zeznania świadków są tak wątpliwe, że trudno ustalić, czy ksiądz miał prawo sprzedać spadek po Stachyrach. Czeką więc Miejska Rada na przedawnienie sprawy, a przewodniczący Komisji Kultury GRN — Jan Wróblewski typuje już nowych lokatorów: bibliotekę i czytelnię.

Tyle to nabroił Stachyra w Żołyńi, że do dziś są z jego powodu kłopoty. Kilku mieszczan z krwi i kości nie daruje mu chyba nigdy przehandlowania praw miejskich Żołyńi. W tym właśnie dopatrują się przyczyn zastoju gospodarczego miasteczka.

Żołyńia będzie tylko Żołyńia, jeśli nie damy jej choć jednego zakładu pracy — mówią w Komitecie Powiatowym partii w Łańcutcie. Dlaczego więc nie dają? A co dać?

— Może by tak zakład przeróbki lnu — proponują żołnierzy.

— Nie ma sensu, przecież miejscowego surowca starczy najwyższej na 5 dni produkcji, a co przez pozostałe 360? Dowozić? Nie opłaca się.

— Mamy ziemię nadającą się pod uprawę truskawek. Może więc jakiś zakład przetwórczy? Udaje się również u nas tytoł... Pośobno opłaca się hodowla brojlerów...



Fot. M. KOPEC

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

KOMEDIA WDZIEKU I AKTORA

Pojawienie się teatru Goldoniego wytknięto kojarzyć się z całkowitym upadkiem komedii dell'arte. Znużenie tym rodzajem widowiska, jakie opanowało wiek rozumu i oświecenia, tęsknota za madra literacką komedią, której arcywzór stworzył we Francji Moliere oraz stare, przeżyte sytuacje w wykonaniu nie najlepszego aktora — oto podstawowe powody klęski jednego z najbardziej błyskotliwych teatrów, który w latach własnej świetności na stałe wszedł

Lata czterdzieste i pięćdziesiąte XVIII wieku, to prawdziwie twórczy okres Goldoniego; pochodzi z niego najbardziej znane i najczęściej grane komedie, jak „Stuga dwóch panów” i „Mirandolina” oraz zupełnie w Polsce nie grane „Blizniaki z Wenecji”, z których prapremiera wystąpił Teatr im. Wandy Stemaszkowej. Jedynym gotowym wzorem mogło stać się dla niego wystawienie tej sztuki przez Teatro Stabile di Genova, który w ubiegłym roku przy-

dek z wielką konsekwencją, nadając przedstawieniu charakter zdecydowanie jednolity, charakter komedii dell'arte, uszlachetnionej dobrym literackim scenariuszem, jaki w tym wypadku odgrywa sztuka Goldoniego. Odnosi się nawet wrażenie, że aktorowi zostało dane prawo do improwizacji, swobody, że właśnie dla niego prowadzi się rzecz całą, by błysnął inwencją, humorem i talentem. Te pozory rzekomego nieskrepowania tekstem, to także jeden z zamierzonych świadomie efektów reżyżerskich, będący jednocześnie ukłonem w stronę szesnastowiecznej komedii, bo przede wszystkim ten okres formował legendę o genialnym aktorze.

szel słabości, w drugim akcie znalazł się u szczytu formy: bawił, wygrywając przymioty własnej osobowości zewnętrznej, dzielnie konkurując z totumfacką kuklą oraz udowodnił, że rola znakomicie była obsadzona.

Ładne, stylowe kostiumy zaprojektowała Irena Perkowska, przydając dynamicznemu spektaklowi, który zadowolony Irene Ladosiównie sporto autentyzmu i uroku.

Carlo Goldoni: „Blizniaki z Wenecji”. Reż. Irena Ladosiówna. Asyst. reż. Henryk Gońda. Scenografia i kostiumy: Irena Perkowska. Choreografia: Bożena Nitańska. Muzyka: Tadeusz Chałaj. Teksty piosenek: Wincenty Zawirski. Wykonawcy: Wincenty Zawirski, Grzegorz Gałłowski, Zdzisław Nowicki, Tadeusz Czarnowski, Józef Jachowicz, Zbigniew Zaremba, Jadwiga Ulatowska, Irena Chudzikówna, Liliana Brzezińska, Janusz Urbanicki, Władysław Trojanowski, Jerzy Rostkowski, Włodzisław Kanowski, Włodzisław Maniewicz, Barbara Barcz, Stefania Massalska, Henryk Gońda.

Dalszą zaś konsekwencją, wynikającą z potraktowania „Blizniaków” jako żyłotowego widowiska, wychodzącego z ludowej tradycji i świetnie czującego się wśród ludu, były próby przełamania tak nieustannie dyskutowanej „czwartej ściany”, próby wejścia aktora między widzów. Bez specjalnej przesady udało się aktorom nawiązać kontakt z widownią, stworzyć nastrój, może niepotrzebnie karnawałowy w zakończeniu, ale na pewno na rój wesołej zabawy. Można by mieć pretensje do



Na zdjęciu: Jadwiga Ulatowska (Kolombina) i Tadeusz Czarnowski (Arlekin — służący Zanetta).



Na zdjęciu: Zdzisław Nowicki (Pankracy) i Grzegorz Gałłowski (Zanetta).

do historii. Pustka i jałowość oświeceniowych komedii aktorskich, improwizacja zainspirowana tradycją ograniczonych schematów, wszystko to prowadziło konsekwentnie do założonej degrengolady świata Pantalona i Doktora, który być może, mógłby jeszcze liczyć na swoje racje wśród wąskiej gawiedzi, ale tracił katastrofalnie szybko swój sens w zatknięciu z trzęsawym i coraz potężniejszym klanem mieszczaństwa. A temu ludowe, naiwne en masse wzory przestały odpowiadać. I tak powoli wytworzył się moment próżni teatralnej, której kres kładzie dopiero pojawienie się nazwisk Gozziego i Goldoniego. Filozofia arystokraty — Gozziego także dość szybko przestała być wzorem dla wiośkiego mieszczaństwa; bardziej sentymentalny i bardziej... płytki Goldoni ma o wiele większą szansę — porwya dowcipem i poczuciem, komizm sytuacji. Ale to karłowate spietzenie pomysł i nieporozumienie, mimo że oficjalnie przeciwstawia się zasadzie teatru improwizowanego, jednocześnie wpływa wprost z ludowego poczucia humoru, nie mogąc przy tym porzucić się gotowemu prawzoru. Udoskonala go wszakże literacko. Tworzy cacka dowcipu. Bawi.

wioli ten spektakl do Polski, pomyślany jako widowisko pełne temperamentu i dynamizmu w konwencji typowej dla teatru ludowego. Bo i jakie zresztą inaczej gród „Blizniaków”? Ich związki z komedią dell'arte są tak przejrzyste, że stanowią tym samym zupełnie oficjalną jej kontynuację. Bardzo znajomy ten światek Doktora i Pantalona (tu Pankracego), dyskatę Kolombiny, dwóch zanaich, którym sosałwi Goldoni nawet identyczne nazwiska Arlekina i Brighelli i dwóch, równoległe rozwijających się wątków miłosnych. Wszystko to namotane na kanwie budzącej podobnych blizniaków, których gra jeden aktor, do spotkania bowiem między nimi nie dojdzie nigdy. Zreżone, komiczne, zabawne. Bez głębszych sensów, bez jadu i szderstwa — tak typowych dla komedii mieszczańskiej.

Splot sytuacji z gatunku qui-pro-quo wyznacza linię inscenizacyjną przedstawienia, której idea przewodnią winny stać się ruch, dynamika i gaga i więc to wszystko, co typowe dla widowiska. Wydaje mi się, że reżyserka rzeszowskiego spektaklu „Blizniaków z Wenecji” Irena Ladosiówna zachowała ten snany porzą-

dek soney otwierającej pierwszy akt, gdzie dominowała pantomima, w której aktorzy, jeśli nie zachowywali się zupełnie niezdarnie, to w każdym razie dalecy byli od doskonałości; czuło się brak przeszerzeń, razil układ choreograficzny. To historycznie uzasadnione nawiasanie do aktora, po trosze cynkowa i akrobata było na pewno ryzykowne. Nie był też zbyt bliski tak licznym i doskonałym wzorom Arlekin Czarnowskiego — spiritus movens całej weneckiej gawiedzi, który dopiero nabrał rumieńców w sytuacjach późniejszych, rzeszywiłde komediowych, zawierających i komplikujących intrygę. Ten prolog pantomimiczny był jednakże w samym samymie konieczny, bo wynikał z esylnego pomysłu zamknięcia wiośkiej historii w oprawie tanczo-wokalnej, nieodłącznej przede przy tego typu widowiskach.

Wydaje mi się także, że w tej bardzo aktorskiej komedii niemała zasługą przypisać można wykonawcom swoich ról, wśród których wysuwa się zdecydowanie na pierwszy plan Grzegorz Gałłowski, w podwójnej i zdecydowanie różnej roli blizniaków: rozgadane Tomina i przygłupa Zanetta. Trudno powiedzieć, w którym ze swoich dwu waleów był lepszy, choć niewątpliwie jego Zanetta, o wiele bardziej komediowy, miał przewagę nad Toninem, nieosącym z sobą cały bagaż przedmiotów typowego amanta. W sumie jednakże ta łatwość przetrwania się z nastrojem w nastroj interesujące głosowo przeskok i swoboda, a jaka konglował bogatym tekstem pokazały aktora inteligentnego, o dużym poczuciu komizmu, nierzadko ironicznego, uśmiałego przy tym przemycił do frywolnej sztuki coś z klimatu makabrycznej groteski (znakomita scena przedśmiertna).

Nieodparcie śmieszny był także Józef Jachowicz jako Lello (choć czasem jego „r” brzmiało bardzo z polską), a dostojnie zbiegał o dobra doczące Doktor Balanzoni (Wincenty Zawirski), rajturząc po molierowsku w sprawach serca. Florindo zaś (Henryk Gońda), gdyby podarował sobie te nieszczęsnie pojedynki, byłby niezwykle sympatycznym konkurentem do reki Beatrycze. Z pań warto wymienić wszystkie; bo i Kolombina Ulatowskiej była uroczą, rozkrzyżowaną (czy nie za bardzo francuską?) subretką i urodziwa Beatrycze Chudzikówny z wielkim wdziękiem nosła swój piękny kostium, i Liliana Brzezińska autentyczną świeżością młodej narzeczonej. Roszary zarzucała zasłonę na niedoświadczenie aktorskie.

O Arlekinie Tadeusza Czarnowskiego już pisałam — po chwilach pierw-

STIEPAN SZCZYPACZOW Na ratunek

Rok dwudziesty. Na środku koszarowego placu jak skamieniały zastąpił trębacz — zwrócony ku gwiazdom ogłaska alarm. Ileż razy słyszeliśmy ten sygnał! Dymią mrozy, zawieje stała się na ziębnięte, wyniszczone przez tyfus miasto, a my to gorączkowym pośpiechu siodłaliśmy konie.

O kilka kilometrów stąd pożar fabryki. Na pomoc miejscowej straży wezwano nas, kursantów. Trzydziestu kawalerzystów pędzi w białą mroźną noc. Przed oczyma rytmicznie podskakuje księżyc — okrągły, jasny.

Zeskoczywszy z koni zatrzymaliśmy się jak wryci, nie wiedząc od czego zacząć. Ale oto wymachujemy już toporami i zalewając sobie szynelę chłistym z wiader wodą na nienasycone płomienie. Jeden ze strażaków krzyknął, cisnął hydrant na ziemię. Strumień ognia i pary osmałił mu twarz. Po brezentowego weża sięga któryś z naszych kursantów. By nie zamienił się w pochodnie, oblewają go z drugiej sikawki. Strumień wody obija boki i plecy jak pałka.

Pożar atakował jeszcze godzinę. Wreszcie parskając i sycząc zaczęli się wycofywać.

Znowu strzeżem podzwania o strzeżem. Konie wchodzić w miazrowy kłus. Księżyc zawędrował już wysoko, ma przynajmniej listą czapę — zapowiedź krzepkiego mrozu. Szynel nam słodowaciła, sterczą jak sztachety.

Trzydziestu kawalerzystów pędzi w białą mroźną noc. Czy słyszycie? To stukot kopyt narasta.

Przełożył JERZY PLEŚNIAROWICZ

Wokół dużo plasku, gdyby więc tak produkcja kregów...

Aż tu nagle bombowa wiadomość. Będzie budowany zakład włókienniczy. Lecz rachunek ekonomiczny podyktował inne rozwiązanie — rozbudowę Zakładów Włókienniczych w Rakaszawie. Żołynia otrzyma... dodatkowy autobus do Rakaszawy.

Wyjeżdżają więc w świat lub dojeżdżają codziennie do Rakaszawy, Leżajska i Rzeszowa starzy i młodzi żołyniacy. Trudno bowiem na miejscu o pracę. Równocześnie kilkanaście gospodarstw coraz bardziej uboższe, głównie dlatego, że nie ma kto w nich pracować.

Malo chyba w Polsce takich gromadzkich rad narodowych jak w Żolyni. Przewodniczący może pozwolić sobie na luksus otoczenia się maturzystkami. Ma bowiem pod bokiem kuznie kadru — Liceum Ogólnokształcące. Tylko dla niewielu jego absolwentów los się uśmiecha. Praca na poczcie, w GS i Prezydium, to nieosiągalne wprost marzenie. Choć placa skromniutka, lepsze to niż szukanie chleba w świecie. Przy rodzicach zawsze łatwiej. O jedzenie przynajmniej nie trzeba się martwić, a całą pensję przeznaczyć na stroje.

Niektórzy rodzice podobno niezbyt chętnie oddawali swe dzieci do ogólniaka. Woleliby jakieś technikum. Ale tu najbliższy i internet na miejscu. Nie troszczy się jednak zbytbytno przewodniczący o „kuznie kadru”. Budynek szkolny choć okazały, jeszcze przedwojenny, do dziś nie jest skanalizowany, nie posiada wody. Internet również nie ma łazienek, umywalki. Siarczysty mróz. Chyba że 30 stopni. Ludzie oczekujący na autobus, przestępują z nogi na nogę. Kilka osób schowało się w korytarzyku Gromadzkiej Rady Narodowej; zmarzluchy, u których „ciepło w kieszeni”, poszły pokrzepić się „pod pomnik”. Tak niektórzy z uwagi na bliskie sąsiedztwo na-

zywają miejscowy bar — „Ludowy”. Pan Jasu uwija się za bufetem, miesza „lamane” z cukrem. Gości ciągle przybywa. Pan Jasu zdejmuję z półki którąś tam już dziś półlitrowkę. Tych co mają już dość ulokowano w osobnym pokoju. Dochodzą tylko stumione okrzyki pijanej kobiety. Znajomi wyprowadzają ją. Dobrze, że chociaż wiesz Mickiewicz stoi tyłem do knajpy, bo za wstydziłby mu chyba kamienne serce.

To niezbyt kulturalne sąsiedztwo osadza poecie znajdującą się w pobliżu księgarnia, w której sprzedaje się podobno każda ilość jego dzieł, a najwięcej „Pana Tadeusza”. Ciągłe brak tego tytułu. Pomnik i księgarnia, to dwie najokazalsze budowle w Żolyni. Pomnik — solidna, masywna, tradycyjna, aksegiarnia — wprowadzie niezbyt duży pawilonik, lecz właśnie pawilon, a nie jakaś tam kłitka w „barokowym” stylu z małymi oknami. Choć półek z książkami nie odgradza ciężka, monstrualna lada sklepowa, kupujący jeszcze nieśmiało doń podchodzą. Może dlatego zachowało się kilka egzemplarzy Kodeksu Drogowego.

Zza zakrętu wyrzały światła samochodu. Stało się to nagle... Stojąc w pobliżu zakrętu chałupa, utrudnia widoczność. Była już nieraz świadkiem i powodem wypadku. Podobno właścicielowi proponowano zastępczą działkę i niezłą sumkę za to, żeby ją rozebrał. Nie zgadza się, czeka widać na lepsze oferty. Na nic jednak one, skoro okazało się, że wchodzący pół metra w drogę dach chałupy jest za bytkowy. Aż strach pomyśleć, co by to było, gdyby tak w ten za bytek uderzył samochód ciężarowy lub ciągnik.

Wyjechaliśmy planowo o 20.27. W Rakaszawie wysiadło z autobusu co najmniej 30 osób. W tym tygodniu pracują na trzecią zmianę.

RYSZARD BIŁSKI

Rocznice Światowej Rady Pokoju Pod znakiem horacjańskiej ody

Tradycyjnym zwyczajem Światowa Rada Pokoju zalecała w tym roku uczczenie dziesięciu wybitnych twórców i myślicieli, poetów, muzyków i uczonych, przedstawicieli różnych epok i wielu uciech świata. Seniorom wśród twórców wyróżnionych przez Światową Radę Pokoju na ten rok jest Horacy, urodzony dwa tysiące lat temu, a beniaminkiem poetyckim — Irlandczyk Yeats, który przyszedł na świat przed stu laty.

Najpierw będziemy obchodzili dwóchsetlecie śmierci Mikołaja Lomonosowa, w dniu 18 kwietnia. Lomonosow był wielkim uczonym i jednym z pierwszych poetów rosyjskiego Oświecenia. Lomonosow sosałwił po sobie wiele dzieł naukowych z dziedziny przyrodniczej, fizyki i chemii. Uchodził za jednego z pierwzych w świecie fizyko-chemików. Był reformatorem języka literackiego i gramatyki rosyjskiej, autorem głośnego „Listu o rymotwórstwa rosyjskiego regulach”. Przedwcześnie jego śmierć, w 54 roku życia, nie pozwoliła mu na dokończenie poematu o Piotrze Wielkim.

W maju przypadają uroczystości ku czci dwóch innych poetów — Daniego i Yeatsa. Kim był twórca „Boeskiej Komedii”, urodzony 30 maja 700 lat temu, nie potrzeba wyjaśniać; przypomnieć tylko należałoby, że Dante, poza swoją działalnością poetycką, był zarazem wybitną postacią polityczną, stronnikiem antypapieskich Gibelinów.

Yeats, jeden z najwybitniejszych poetów irlandzkich, który wkręcił świat dawnych mitów celtyckich i legend, urodził się sto lat temu w dniu 20 maja. Twórca licznych poematów, dramatów i powieści. Yeats otrzymał w roku 1923 Nagrodę Nobla.

Kolejna rocznica Światowej Rady Pokoju wypada 6 lipca, w którym to dniu 1415 roku spalono na stosie Jana Husa. Wielki kaznodzieja był swoiennikiem reformy kościelnej, obrońcą krzywdzonego ludu, występował przeciwko Niemcom w obronie narodowości czeskiej i czeskiego języka, którego piękno słał, walcząc o jego czystość. Był autorem licznych traktatów i pieśni kościelnych w języku czeskim. Głosił potrzebę jedności narodów słowiańskich, a po zwycięstwie grunwaldzkim przesłał Władysławowi Jagiello list gratulacyjny. Popadłszy w zatarg z hierarchią kościelną, został obłożony klątwą, postawiony przed sądem i jako herezyk, spalony na stosie. Zapoczątkowany przez Husa ruch religijno-społeczny objął Czechy oraz część Polski, w szczególności Śląsk i Kujawy i Wielkopolskę.

Którego dnia będziemy obchodzili tysiąclecie urodzin Alhazena, znakomitego arabskiego uczonego, fizyka, matematyka, lekarza i filozofa — nie wiadomo, jako że kroniki nie sosałwowały konstatacji niebieskiej, przyswiecającej dniu jego przyjścia na świat. Twórczość Alhazena związana jest z Polską poprzez pierwzego naszego uczonego Witelona. Dzieło Alhazena „Skarbiec optyki” natchnął naszego Słazaka do napisania dzieła „O perspektywie”, oba te dzieła ukazały się razem, wydane drukiem w XVI wieku w Bazylei.

Nie znana jest również bliższa data narodzin przed dwustu laty wietnamskiego poety Nguyen Du i jeszcze niewiele wiadomo o zmarłym przed 50 laty lekarzu z Kuby, Carlosie Finlay, których pamięć zaleca ucczyć Światowa Rada Pokoju.

Ostatnie dwie rocznice przypadają jednego dnia, 8 grudnia. Będziemy wówczas obchodzili stułecie urodzin Jana Sibeliusa, fińskiego kompozytora, który oparł swoją twórczość na ludowej muzyce swego kraju, a tematy do swych utworów czerpał z fińskich podań ludowych.

W tymże dniu, 8 grudnia 65 roku p.n.e. przyszedł na świat w Apuli jako syn wyroczelnicy rzymskiego, Quintus Horatius Flaccus — Horacy, jeden z największych tryków starożytnego świata. Nieśmiertelną sławę zapewniły mu jego Ody i Pieśni, o tematyce erotycznej, filozoficznej i okolicznościowej. Wiele z nich poświęcił Horacy przynajmniej swego protektora Mecenasza, opiekuna poetów i artystów w okresie Złotego Wieku literatury rzymskiej. Arz poetica — „Sztuka poetycka” Horacego — została przetłumaczona na wszystkie języki europejskie, a cała teoria twórczości poetyckiej, aż do początków XIX wieku, na niej się opierała. Ody Horacego służyły jako wzór Kochanowskiemu i Sarbiewskiemu. Poecie Horacego tłumaczono na polski począwszy od XVIII wieku. Najlepsze przekłady dał Naruszewicz, a w nowszych czasach — Zawistowski i J. Czubek. Jeden z ostatnich przekładów poezji Horacego, pióra Ludwika Hieronima Morawina, ukazał się w roku 1947.

ADRIAN CZERMIŃSKI

na WPROST

Szansa dla Cyceronów

Jeśli stwierdzę, że mówi się w Polsce coraz więcej i coraz gorzej, że sztuka przemawiania sięga dna upadku, nie będę w tym stwierdzeniu osamotniony ani, niestety, oryginalny. Użytkowania na ten temat są dość częste, gdyż życie nie szczędzi nikomu okazji do oceniania retorycznych popisów współczesnych oratorów. Na ogół „złotoustych” wśród nich nie ma. Jeśli zdarzy się wyścigi publicznie w jakiejś dyskusji czy przemówieniu człowiekowi, który na co dzień sypie buty lub wytapia stal i jeśli ten występ nie będzie najwyższej jakości nie ma jeszcze powodu do bicia w gong alarmowy. Wystarczy, że buty czy stal są pierwszego gatunku. Ale gdy całkowitą nieporadność na mównicy wykażą ludzie, których głównym narzędziem pracy zawodowej jest słowo — wtedy oprócz uczucia zgorznienia i dezaprobaty budzi się w nas niepokój. Czy może skutecznie bronić oskarżonego adwokat, który stęka coś pod nosem i buduje kalekie zdania? Czy może skutecznie agitować i przekonywać działacz polityczny czy społeczny, który trzyma się zasady na trybunie — „byle co i byle jak, byle duto i długo”?... Czy może leczyć na zainteresowanie słuchaczy prelegent, który wie o co chodzi, ale nie wie jak to powiedzieć? Gdy się słyszy takie wystąpienia przeraża właśnie ta bylejałość, ten absolutny brak troski o płynność przemówienia, logikę i konstrukcję wewnętrzną, a nawet o precyzję słów i zdań.

ojczyści. Co na przykład może zdziałać „ze stanowiskiem”? Może być „twardo sprecyzowane stanowisko” może być „jasność naszego stanowiska”, bywa i tak, że „zgodność naszego stanowiska jest to”... Z przybywaniem i ubywaniem wiążą się takie zwroty: „stan książek przybywa, a sieć bibliotek rośnie”... albo „wzrost dzienników i czasopism” — odnotowujemy także „spadek wódki” i przybywanie „woluminów książek w bibliotekach”. Z innych zwrotów oratorskich zasługują na uwagę następujące: „kto koncytuje tam pracę”, „akcja pozwoliła zagospodarować 3.000 absolwentów” albo obrazowe i sugestywne — „człotka tego jeszcze jest”. Gdzie indziej słyszymy „o oddolnym podebraniu akturu”... o tym, że „niesłusznie jest wzrastanie osobodolników na zakładzie” itd.

Jak się to dzieje, że w służbie socjalizmu — idel głęboko humanistycznej posługujemy się tak nieludzkim zmechanizowanym językiem? A to wszystko zło wynika chyba stąd, że kiedyś świadomie zaczęliśmy wyrzucać z naszego języka mówionego piękne zwroty retoryczne, sugestywne środki wyrazu oratorskiego, konstrukcję klasycznej „mowy”, szlachetny gest, mimikę, modulację głosu na rzecz prostoty i rzeczowości, na korzyść języka potocznego. Ze niby nam nie trzeba napuszonych frazesów oratorskich. Było to jednak „wypędzanie diabła bieżebudem”. Dziś język naszych mówców dalszy jest od prostoty i rzeczowości niż kiedykolwiek. Z dwójną zlego lepsze już pompatyczne oracje imł nana Jana Chrzytostoma Paska niż prymitywne i nieporadne „zagajenia” współczesnych.

A może jednak warto świadomie i konsekwentnie pracować nad doskonałeniem narzędzia, którym się pracuje?

„Jotgiel”



Mgr ALINA PYSZ — nauczycielka, działaczka TWP w Tarnobrzegu. Rys. J. SIENKIEWICZ

37 krajów zakupiło polskie filmy w roku ubiegłym

Dystrybutorzy amerykańscy i francuscy prowadzą rozmowy z „Filmem Polskim” w sprawie zakupu ekranizacji „Rękopisu znalezionego w Saragossie”. Kilku dystrybutorów wyraziło też chęć zakupu znajdującego się jeszcze w halach zdjęciowych „Eareona”.

Zainteresowanie polskim filmem w świecie nie słabnie, co potwierdziły transakcje zawarte w roku ub. przez naszych eksporterów. O 102 polskie filmy powędrowały w 1964 roku do 37 krajów. Sprzedano 96 pozycji (na ogólną liczbę ponad 200 zrealizowanych w okresie 20-letnia), zawierając 215 transakcji. Z liczby tej 92 transakcje przypadły na 48 kraje Europy zachodniej i 80 — na zamorskie.

Osiągnięte wyniki są lepsze niż w 1963 r. wzrosły też wpływy dewizowe, które — jak nas informuje „Film Polski” — były wyższe o 20 proc. niż nasze wydatki ponoszone z tytułu zakupu filmów zagranicznych i to nie tylko dla kin, ale także dla telewizji.

Prawdziwym bestsellerem okazała się „Pasażerka”, zakupiona przez 14 krajów (Argentyna, Belgia, Brazylia, Bułgaria, CSRS, Francja, Holandia, Japonia, Jugosławia, Kanada (dla kin i tv), Norwegia, Węgry, USA (dla kin i tv), ZSRR, na drugim miejscu znalazła się komedia „Gdzie jest generał”, którą zakupiło 8 krajów; 7 nabyło inną komedię — „Giuseppe w Warszawie”, 6 — „Żona dla Au-

stralińczyka”, po 5 — „Naganieca”, „Przerwany lot”, „Zezowate szczęście” i „Lotna”.

Z krajów socjalistycznych naszym największym odbiorcą jest Kuba, która zakupiła 25 filmów fabularnych, Czechosłowacja — 23 Węgry — 14 i ZSRR — 12. 18 polskich filmów nabyli dystrybutorzy z USA, głównie dla miejscowej Francji i Belgii. Po raz pierwszy nawiązaliśmy kontakty handlowe z Indonezją, która zakupiła rekordową liczbę 25 filmów. „Kanał” i „Podróg” zakupiła Uganda.

Coraz poważniejszą rolę w naszym filmowym eksporcie odgrywa krótki metraż, nabywany przede wszystkim przez telewizję takich krajów jak, Czechosłowacja, NRD, Węgry, a na Zachodzie — NRF, Kanada, Dania, Belgia i Anglia. W 1964 r. zawarto ogółem 750 transakcji na sprzedaż filmów krótkometrażowych, wśród których największym powodzeniem cieszyły się pozycje animowane (330 transakcji).

Ogólnie biorąc, rok ubiegły był dla naszego eksportu filmowego pomyślny, mimo że dobre wyniki zawiadziały się w dużej mierze sprzedażą filmów realizowanych przed kilku, a czasem kilkunastu laty. Rok bieżący powinien przynieść zwiększenie eksportu nowych pozycji, którymi interesują się zagraniczni dystrybutorzy.

Zdarzenia tygodnia

Lubelska Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich i Wydział Kultury Prez. WRN w Lublinie, Białymostku, Kleciach i Rzeszowie zorganizowały ostatnio seminarium, poświęcone roli młodej inteligencji w społeczno-kulturalnej aktywności miast i wsi. W lubelskim seminarium wzięli udział znani naukowcy, przedstawiciele zainteresowanych instytucji i wydziałów kultury. Organizatorzy zaprosili do uczestnictwa w seminarium znanego działacza młodzieżowego z Miłca, inż. W. Wasieka, który omówił znaczenie młodej inteligencji w życiu społecznym Miłca.

W szkole nr 47 rocznicy powstania Armii Radzieckiej, Centrala Wynajmu Filmów zorganizowała w dniach 23 — 24 lutego przegląd batalistycznych filmów radzieckich. Mieszkańcy woj. rzeszowskiego oglądali cenne wznowienia, jak np. „Cichy Don”, „Leśca żurawie” i in. w 13 kinach miejskich.

Kuratorium Okręgu Szkolnego i Wojewódzki Zarząd Kin sprawiły rzeszowskiej młodzieży miły prezent. W ubiegłą sobotę w Technikum Budowlanym otwarto pierwsze w województwie kino młodzieżowe (wybrano też odpowiednią nazwę — „Zaczek”). Uczniowie rzeszowskich szkół będą tam mogli w każdą sobotę i niedzielę oglądać projekcje filmowe (dziela kinematografii i filmy tematycznie związane z lekturami szkolnymi).

Związek Polskich Artystów Plastyków i Biuro Wystaw Artystycznych urządziły w Teatrze im. Wandy Siemskowej w Rzeszowie wystawę grafik i rysunku Jerzego Siemkiewicza (nie potrzebujemy chyba szerzej scharakteryzować artystę, który w swoim czasie do obrobienia wystawy, gdyż Cytelnicy znają dobrze grafikę „Nowina”, a zarazom i naszego).

Mamy jeszcze jeden folder o zabytkach woj. rzeszowskiego. Nosi on tytuł „Forty przemyskie”. O wartości tego wydawnictwa stanowi opis powstania twierdzy przemyskiej i wiele archiwalnych zdjęć, jak zwykle świetnie reprodukowanych w wydawnictwach krakowskiego WAO-u.

Plątkowym koncertem Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie dyrygował gościnnie Zygmunt Kassa. I dyrygent Państwowej Orkiestry Symfonicznej z Zielonej Góry. Orkiestra wykonała pod jego batutą utwory W. A. Mozarta. Na program służył się także koncert fortepianowy „Utwory Cesarza Francja” w wykonaniu zasłużonego artysty Rumuńskiego Republiki Ludowej, prof. Gheorges Kalmosa.

Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku rozpoczęło wydawanie Biuletynu Informacyjnego, mającego na celu zapoznanie zainteresowanych i postępowanie pras i doświadczeniami tej placówki. Biuletyn zawiera będzie także wiadomości o przedsięwzięciach i imprezach kulturalno-oświatowych, mających związek z problematyką muzeum.

Całkowicie na posiedzeniu Prezydium PRN w Kolbuszowej omówiono realizację uchwały z 1964 r., dotyczącej dalszego rozwoju działalności kulturalno-oświatowej w powiecie. Jak wynika z informacji kierownika Wydziału Kultury, wykorzystano niemal całkowicie przyznane kredyty, dobrze również przebiegła akcja dokształcania kadr i rozwój placówek kulturalno-oświatowych.

Co wiatr niesie

M O W A

Prywatne zbiory kryją często wprost bezcenne ciekawostki i bogactwa. W tych dniach otrzymaliśmy od ob. Witolda Nowotarskiego kapitalny dokument z tej dziedziny „archiwalnej”. Jest nim prospekt o światowej renomie firmy produkującej forte-

plany, która nie omieszkała wykorzystać Konkursu Chopinowskiego do zachwalania jakości swych instrumentów. Ow unikat ku Waszej uciechy i potomności prawie że bez skrótów poniżej przedstawiamy:

Ten Steinway-fortepian koncertowy

Z samego początku swego istnienia oznacza dla muzyków i pianistów międzynarodowego formatu we wszech stronach świata najwyższe wyłączenie techniczne, wspaniałość tonu i do tych por niedościgniętą dźwięczność przy począ nieograniczonej trwałości

Niezlicana jest suma muzyków kompozytorów, którzy sobie ten fortepian koncertowy, dla własnej pracy urabiali. Nie tylko w salach koncertowych, akademiach i domostwach artystów te fortepiany znalazły swoje przeznaczenie.

Muzyka — wszechstronna mowa świata zjedniła jednostki i narody w świętecznych godzinach wielkich koncertów i muzykach domowych, lecz także przy wszelkim zajęciu muzycznym. Fortepian i pianino są te uniwersalne instrumenty, z pomocą których nam się całe bogactwo muzyki otwiera. Kto nie uznał to uszczelnienie we własnym wykonaniu i oświetleniu wszelkiej muzyki, czy to w cicho swego kąciaka, czy w miejscu z lubymi druzdziami?

W tym myśle instrumenty firmy Steinway i Syn uzyskują ogólnokształcące znaczenie.

wległami temu instrumenta charakterystycznym.

Dwa zdarzenia charakteryzują ogólnie międzynarodowych artystów Steinway — instrumentach:

Bruxelles, Concours International Reine Elisabeth 1952; (Międzynarodowy konkurs im. królowej Elżbiety (Bruksela) — przyp. M.G.) z 12 nagrodzonych uczestników, 11 rozstrzygnięto się dla Steinway — instrumentów

WARSZAWA, Chopin — Concours 1955; z 86 uczestników konkursu zwyciężył jak 90 proc. wybrało Steinway — fortepiany koncertowe.

O biedna mowa polska!

Podoba M. G.

Podczas Steinway — fortepiany zdobyły wielkie sale koncertowe studia radiostacji. Steinway — pianino znalazło uprzedzenie u amatorów i lubowników muzyki... Rząd różnych modeli wykonanych w rozmaitych drzewach przy utrzymaniu salachetwa tonu umożliwia wybór pianina z przy-

F. S. Prospekt wydano na wspaniałym kredowym papierze i jest ilustrowany zdjęciami bajecznych pianin i fortepianów.

Celem oddania w pełni tego kuriozum reklamowego zachowaliśmy również oryginalną pisownię i interpunkcję.

Dyskusje • Polemiki • Dyskusje • Polemiki

Jesteśmy, jesteście...

Nie znam redaktora „J. B”, który w „Widokregu” z dnia 31 I br. zamieścił artykuł pod frazującą tytułem „Gdzie są studenci?” Wiem tylko tyle, że problem, jaki podjął potraktował dość pobieżnie. Popatrzymy na nie z bliska.

Student grupują się we własnym Zrzeszeniu. Jest to rodzaj związku zawodowego, organizacja biorąca w opiekę wszystkich, bez względu na przekonania czy pochodzenie społeczne. W ubiegłym roku, wraz z powstaniem w Rzeszowie filii krakowskiej WSP, na młodej uczelni działalność rozpoczęło Zrzeszenie Studentów Polskich. Utworzono Radę Wydziałową podległą Radzie Uczelnianej WSP Kraków. Łatwo można sobie wyobrazić, jak trudno było organizować pracę Zrzeszenia na nowym terenie i przez ludzi, którzy nie mieli o tym pojęcia. Byli to w dodatku studenci i roku, który z reguły nie zajmują na żadnej uczelni kierowniczych stanowisk w Radzie Wydziałowej lub Uczelnianej. W bieżącym roku liczba studiujących potroiła się. Decyzja Rady Naczelnej utworzenia Rady Uczelnianej, a własnym budżetem i o wiele rozszerzonymi kompetencjami.

Przypatrmy się pracy interesującej nas Komisji Kultury.

Na początku roku akademickiego zorganizowano kilka wieczorków towarzyskich. Każdy z nich był dla organizatorów w pewnym sensie koszmarem, nie obyło się bez interwencji przedstawicieli władzy. Studenci rzeszowscy okazali się jeszcze za słabą siłą, aby móc ockonać niektóre żywiołowe jednostki w swojej zbiorowości.

Powstały niedawno kabaret nie może rościć sobie odywowej działalności. Ma kłopoty z tekstami i doborem odpowiednich wykonawców.

Ala oto niespodziewanie dał o sobie znać Teatrzyk Poezji. Pierwszy program poświęcony był Galicyjskiemu, a nim też czterech studentów wystąpiło na eliminacjach powiatowych IX Konkursu Recytatorskiego. Jeden z nich zakwalifikował się do eliminacji wojewódzkich. Notaalka o tym ukazała się w „Nowinach Rzeszowskich”. Czterech studentów WSP reprezentowało całe środowisko rzeszowskie. Gdzie WSI, gdzie SNT? Prawdopodobnie byli zapracowani, czekała ich sesja, a studentów WSP zabawa w kotka i myszkę! Nie chodzi mi o wykazywanie, kto lepszy, WSI czy WSP. Chcę jedynie, aby na przyszłość nie oceniali rzeczywistości, której się nie zna.

Nie stworzymy również w Rzeszowie drugich „Jaszczurów”. Jak poinformo-

wali nas radni na spotkaniu ze studentami, uzyskanie lokalu dla klubu studenckiego na terenie miasta pozostanie jeszcze długo w sferze marzeń. Organizowanie takiego klubu na terenie jednej z uczelni nie rozwiązuje problemu.

Jasne jest dla każdego, kto wie, że trzeba czasu i środków, aby stworzyć zespół artystyczny na miarę jednego z zespołów krakowskich, że nas na razie na to nie stać. Nie zapomnijmy, że student ma studować, a potem wyhodować poza mury uczelni, aby rozsiewać swoje przywiązanie do wszelkich muz.

Odnosnie do proponowanej przez pana redaktora koordynacji sprawy jest skromnikowana e tyle, że RU WSP podlega jest bezpośrednio Radzie Okręgowej, a RU WSI Radzie Naczelnej ZSP. Plany poszczególnych komisji nie mogą być robione również po to, by ośmić otoczenie zapowiedzią rewelacyjnych poczyniń, ale są oparte o realne możliwości studentów.

Myślę, że dużo jeszcze czasu minie, gdy spotkamy się na kawie w estetycznym urządzonym lokalu klubu studenckiego w Rzeszowie, patrząc, słuchając i podziwiając ile się zmieniło od 1957 roku. Takie są, niestety, prawa rządząca nauką i rozrywką studenta. Zamieszanie ich nie wyjdzie ani jednemu, ani drugiemu na dobre.

MARIAN ŚLODKINSKI

Zadowolenie to dla autora ogromne, kiedy jego publikacja stale się powodzeniem dyskusji. Zadowolenie tym większe, że na pytanie gdzie są studenci, autor odpowiedział nie napisal krótko, że na uczelni, w bibliotekach, czytelniach lecz podjął dyskusję dotyczącą ich kulturalnej działalności. Ale dalej właśnie ogromnie obowiązków usprawiedliwia zbyt słabe zaangażowanie się w te sprawy studentów.

Brak w odpowiedzi optymizmu, profektów i pomysłów. Zalamuje Pan recę dlatego, że Miejska Rada nie obiecuje nawet lokalu na klub studencki. A czy

klubu międzyuczelnianego nie można urządzić w jednej z uczelni? Może właśnie warto dogadać się w tej sprawie ze studentami szkoły inżynierskiej. Zrezygnuj klub nie stanowi być albo nie być kultury studenckiej. Lecz skoro już o klubach. Sądzę, że studenci WSP czują się trochę zawstyżeni, że klub studencki w ich uczelni będzie prowadził... „Ruch”. Mielł przecież środki na założenie własnego klubu, a „Ruch” niechby lepiej doinwestował kulturalnie jakąś bieżączką wieść, czy osadę.

Jeśli zaś chodzi o koordynację, to jest ona w Rzeszowie bardziej niż gdzie in-

dzie konieczna. Po prostu dlatego, że środowisko studenckie szczytna się tu dopiero organizować.

Sądze, że moje — jak pan pisze — pobieżne wyrażenie (osiem Jero było zresztą tylko zarysowaniem problemu) oraz Pana odpowiedź, spełnia pozytywną rolę: pobudza do działania działaczy k.o. z pozostałych uczelni, którzy zresztą, kto wie, może przygotowują już również rzeczowa so ta, a może nawet bardziej konkretna i budująca odpowiedź na pytania — „gdzie są?”

BYSEARD HILSKI